**2**

Olga Tokarczuk, *Bieguni*

Moi rodzice nie byli do końca plemieniem osiadłym. Wiele razy przeprowadzali się
z miejsca na miejsce, aż w końcu zatrzymali się na dłużej w prowincjonalnej szkole, daleko
od porządnej drogi i kolejowej stacji. Podróżą stawało się już samo wyjście na miedzę, wyprawa do miasteczka. Zakupy, składanie papierów w urzędzie gminy, zawsze ten sam fryzjer na rynku przy ratuszu, w tym samym fartuchu, pranym i chlorowanym bez skutku, bo farby do włosów klientek zostawiały na nim kaligraficzne plamy, chińskie znaki. Mama farbowała włosy, a ojciec czekał na nią w kawiarni „Nowa”, przy jednym z dwóch stolików wystawionych na zewnątrz. Czytał lokalną gazetę, w której zawsze najciekawsza była rubryka kryminalna z doniesieniami
o obrabowaniu piwnic z powideł i korniszonów.

Te ich turystyczne wakacyjne wyjazdy, strachliwe, skodą zapakowaną po sufit. (…)

Należeli do pokolenia, które jeździło z przyczepami kempingowymi, ciągnąc za sobą namiastkę domu. Kuchenkę gazową, składane stoliki, krzesła. Plastikowy sznur do wieszania prania na postojach i drewniane klamerki. Ceraty na stół, nieprzemakalne. Turystyczny komplet do pikniku – kolorowe plastikowe talerze, sztućce, solniczki i kieliszki.(…)

Rozsiadali się w oznaczonych miejscach, na polach kempingowych, zawsze
w towarzystwie takich samych jak oni, ucinając sobie z sąsiadami pogawędki nad skarpetami suszącymi się na linkach namiotów. Ustalano trasę podróży z przewodnikiem, starannie zaznaczając atrakcje. Do południa kąpiel w morzu albo w jeziorze, a po południu wyprawa
do starożytności zabytków miast zakończona kolacją – najczęściej były to weki: gulasz, kotlety mielone, klopsy w sosie pomidorowym. Trzeba było tylko ugotować makaron albo ryż. Wieczne oszczędzanie pieniędzy, złoty jest słaby, to grosz świata. Poszukiwanie miejsc, gdzie można się podłączyć do prądu, i potem niechętne pakowanie się, żeby ruszyć dalej, zawsze jednak
w metafizycznej orbicie domu. Nie byli prawdziwymi podróżnymi, bo wyjeżdżali po to,
żeby wrócić.